

Irena SIEPKOWSKA

RELACJA

© ARCHIWUM WSKODNIE

Nazywam się Irena Siepkowska, urodziłam się 15 września 1929 roku w powiecie augustowskim we wsi Brzosówka. Matka nazywała się Zofia z Walejewskich Wielgat, ojciec Jan Wielgat w okresie I wojny światowej był organizatorem POW na Suwalszczyźnie. Miałam czworo rodzeństwa: siostrę i trzech braci. Ojciec miał gospodarstwo rolne 18 hektarowe.

Armia Czerwona wkroczyła na Suwalszczyznę kilka dni po 17 września. Ja wówczas chodziłam do szkoły. Pamiętam z tego okresu długie, trwające całymi dniami przemarsze rosyjskich kolumn wojskowych. Stosunki z żołnierzami rosyjskimi układały się poprawnie, a w przypadku dzieci polskich nawet dobrze. Wiedzieliśmy, że są to nasi wrogowie, ale mimo wszystko nie było żadnych incydentów. Nikt nie wierzył, że okupacja sowiecka może dłużej potrwać. Jedynie pojedyncze osoby podejmowały współpracę z Rosjanami. Był taki młody chłopak, bezrolny, który pracował w milicji, a równocześnie pomagał Polakom ostrzegając przed mającymi nastąpić aresztowaniami. Ocalił w ten sposób życie jednego z nauczycieli naszej szkoły. Kierownik natomiast został aresztowany i zginął bez wieści.

Na gospodarzy były nałożone bardzo wysokie daniny. Trzeba było oddawać zboże, mięso, mleko. Wprowadzono obowiązek uprawy tytoniu. Gospodarzom, którzy mieli więcej ziemi odbierano jej część i przekazywano bezrolnym. Nam odebrano około 1/3 ziemi. Sasiad, który miał mniejsze gospodarstwo powiedział, że Rosjanie proponują mu wzięcie odebranych nam gruntów. Zaproponował, że na czas okupacji rosyjskiej weźmie tę ziemię, a potem nam odda. Tak też się stało.

Ojciec obawiając się represji z tytułu powiackiej przeszłości po wroczeniu Rosjan ukrywał się. Przychodził czasem do domu, ale wówczas zawsze ktoś stał na czatach. Częste były rewizje NKWD. Któregoś razu, gdy ojciec był w domu przyszli Rosjanie. W drzwiach zatrzymał ich nasz pies i ojciec w tym czasie zdążył uciec. Od tej chwili rewizje były jeszcze częściej, do 3 razy tygodniowo. Rewidowano cały dom, byli przy tym żołnierze z bagnetami. Niekiedy przyjeżdżało tak wielu żołnierzy, że podwórze było całe pełne ich koni. Straszono matkę aresztowaniem jej albo najstarszego syna. W trakcie rewizji Rosjanie zachowywali się na ogół poprawnie. Pamiętam incydent z jednej z rewizji. Miała ona miejsce wcześniej rano, jeszcze podczas snu. Żołnierz wszedł do pokoju w którym spałam i zdarł ze mnie pierzynę, jakby chcąc sprawdzić, czy nie ma pod nią ojca.

W szkole, do której uczęszczałam uczono nas języka polskiego, pozostałe przedmioty prowadzono po rosyjsku, nie było natomiast historii Polski.

20 czerwca 1941 wczesnie rano przyszło do nas NKWD. Dowodzący oficer powiedział, że jesteśmy niebezpieczni dla Związku Radzieckiego i nie możemy dłużej mieszkać w strefie nadgranicznej. W związku z tym zostaniemy przewiezieni w inne miejsce, oddalone od granicy. Mama zaproponowała, że możemy wyjechać do rodziny mieszkającej za Kanąłem Augustowskim, na co oficer odparł, że to za blisko. Kazano nam się zbierać, pozwolono wziąć tylko po kilka kilogramów dobytku. Dowodzący poradził mi na stronie, aby wzięła zapas jedzenia i balię do prania, bratu natomiast kazał wziąć dobrą piłę i siekiere.

Powieziono nas do Augustowa na dworzec, gdzie ulokowano nas w wagonach bydłowych. Po każdej stronie wagonu były po dwie prycze. Nam się udało, bo razem z nami był sąsiad mówiący po rosyjsku, który korzystając z panującego bałaganu powiedział, że wagon jest pełny i tym sposobem udało się nam uniknąć tłoku. Oprócz nas jechały jeszcze 3 rodziny.

Pociąg stał na stacji w Augustowie do następnego dnia, tj. do 21. Rano widzieliśmy niemieckie samoloty przelatujące nad nami w kierunku umocnień nad Kanąłem Augustowskim. Ruszyliśmy w drogę pod ciągłym ostrzałem i bombami z niemieckich samolotów. Było bardzo gorąco, a wodę dostawaliśmy tylko od ludzi na postojach. W wagonie było tylko jedno małe okienko, ale mężczyźni wkrótce wyrabiali siekierami zabezpieczenia i było więcej powietrza. Gdy dojechalismy do Grodna rozeszła się pogłoska, że most nad Niemnem jest zbombardowany. Mielismy nadzieję, że w związku z tym dalej nie pojedziemy. Kiedy jednak dojechalismy do Niemna i pociąg ~~wjechał~~ wjechał na most wszyscy ludzie zamarli, bo zrozumieli, że teraz powiozą nas dalej. Ostatnim miastem polskim na trasie przejazdu była Nida. We wszystkich wagonach byli zabici i rani. W naszym wagonie odłamek bomby zabił jedną kobietę o nazwisku Łaibitis. Mężczyźni z naszego wagonu planowali ucieczkę podczas chowania zwłok, ale żołnierze pozwolili tylko wynieść je na peron i zapędzono wszystkich do wagonów. Na stacji był przy tym ksiądz katolicki.

Trasa podróży wiodła przez Mińsk białoruski i Smoleńsk. Pociąg nasz liczył około 80 wagonów. Przez cały czas dokuczało

nam pragnienie. W czasie deszczu wystawialiśmy za okna naczynia, próbując łapać w nie wodę. Podróż trwała przez miesiąc i w tym czasie dostaliśmy trzy posiłki. Była to zupa "szczy" (kapuśniak), tak potwornie przesolona, że nie można było jej jeść. W transporcie przeważała ludność wiejska i każdy prawie miał jakiś zapas jedzenia. Pod koniec drogi jedliśmy już spleśniały chleb. Razem z nami jechała nasza sąsiadka, której NKWD nie pozwoliło zabrać żadnych zapasów, toteż groziła jej śmierć głodowa. Przeżyła tylko dzięki pomocy towarzyszy z transportu.

W Krasnojarsku rozdzielono nasz skład. Nasz wagon pojechał do Abakanu i tam po miesiącu jazdy pierwszy raz opuściliśmy wagony. Wszyscy byli jak pijani, nie mogliśmy ustać na nogach. Pamiętam, że mój brat pytał się mamy, dlaczego szkoła stojąca obok stacji nie jedzie.

W Abakanie skierowano nas do osiedla górniczego ponieważ mój najstarszy brat nadawał się do pracy w kopalni. Mieszkaliśmy w Czarnogorsku, osiedlu położonym w stepie 60 km od Abakanu. Okolica była bezdrzewna, wszędzie porastała ostra, koląca trawa, brak było wody. Wzdłuż jedynej drogi stały baraki zamieszkałe przez górników i ich rodziny. 20 baraków było murowanych, miały grube, ceglane ściany. Mieszkania w nich składały się z jednej izby i małej kuchenki. Mieszkali w nich Rosjanie. Barak, w którym zostali ulokowani Polacy miał ściany i dach, pomiędzy które nasypano trocin. Wewnętrzne ściany były otynkowane. Wzdłuż baraku biegł korytarz, z którego wchodziło się do poszczególnych izb. Było ich 24, przy czym w każdej izbie mieszkała jedna rodzina. W izbach stały piece murowane z cegieł. Piece te wogóle nie grzały i Polacy przemurowywali je dodając płyty kuchenne. W baraku były też 4 kuchnie wspólnego użytku.

W osiedlu była jedna kasa publiczna i jeden sklep. W sklepie tym początkowo był jeszcze towar tj. kawa z Łożdzi, perfumy i krem kosmetyczny. Gdy te artykuły zostały wykupione półki sklepowe nasłonięto firankami i sklep zamieniono w punkt rozdzielu towarów kartkowych. Przez jakiś czas dostawaliśmy kartki na cukier, ale cukru w sklepie nie było. Raz dawano chałwę zamiast cukru, a potem nie było ani chałwy, ani cukru. Sól kupowało się na targu od złodziei. Na targu można było z miejscowymi wymieniać odzież czy buty na ziemniaki, chleb i zboże. Żywnością handlowali ludzie z nomenklatury poprzez pośredników. Np. dyrektor piekarni wywoził z pracy wory pełne chleba i przez podstawionych ludzi sprzedawał. W wodę zaopatrywaliśmy się z rurociągu doprowadzonego do osady z Jeniseju. Początkowo dawano ją na

nam pragnienie. W czasie deszczu wystawialiśmy za okna naczynia, próbując łapać w nie wodę. Podróż trwała przez miesiąc i w tym czasie dostaliśmy trzy posiłki. Była to zupa "szczy" (kapuśniak), tak potwornie przesolona, że nie można było jej jeść. W transporcie przeważała ludność wiejska i każdy prawie miał jakiś zapas jedzenia. Pod koniec drogi jedliśmy już spleśniały chleb. Razem z nami jechała nasza sasiadka, której NKWD nie pozwoliło zabrać żadnych zapasów, toteż groziła jej śmierć głodowa. Przeżyła tylko dzięki pomocy towarzyszy z transportu.

W Krasnojarsku rozdzielono nasz skład. Nasz wagon pojechał do Abakanu i tam po miesiącu jazdy pierwszy raz opuściliśmy wagony. Wszyscy byli jak pijani, nie mogliśmy ustać na nogach. Pamiętam, że mój brat pytał się mamy, dlaczego szkoła stojąca obok stacji nie jedzie.

W Abakanie skierowano nas do osiedla górniczego ponieważ mój najstarszy brat nadawał się do pracy w kopalni. Mieszkaliśmy w Czarnogorsku, osiedlu położonym w stepie 60 km od Abakanu. Okolica była bezdrzewna, wszędzie porastała ostra, koląca trawa, brak było wody. Wzdłuż jedynej drogi stały baraki zamieszkałe przez górników i ich rodziny. 20 baraków było murowanych, miały grube, ceglane ściany. Mieszkania w nich składały się z jednej izby i małej kuchenki. Mieszkali w nich Rosjanie. Barak, w którym zostali ulokowani Polacy miał ściany z desek, pomiędzy które nasypano trocin. Wewnętrzne ściany były otynkowane. Wzdłuż baraku biegł korytarz, z którego wchodziło się do poszczególnych izb. Było ich 24, przy czym w każdej izbie mieszkała jedna rodzina. W izbach stały piece murowane z cegieł. Piece te wogóle nie grzały i Polacy przemurowywali je dodając płyty kuchenne. W baraku były też 4 kuchnie wspólnego użytku.

W osiedlu była jedna kasa publiczna i jeden sklep. W sklepie tym początkowo był jeszcze towar tj. kawa z Żołędzi, perfumy i krem kosmetyczny. Gdy te artykuły zostały wykupione dzięki sklepowe nasionęto firankami i sklep zamieniono w punkt rozdziału towarów kartkowych. Przez jakiś czas dostawaliśmy kartki na cukier, ale cukru w sklepie nie było. Raz dawano chałwę zamiast cukru, a potem nie było ani chałwy, ani cukru. Sól kupowało się na targu od złodziei. Na targu można było z miejscowymi wymieniać odzież czy buty na ziemiaki, chleb i zboże. Żywnością handlowali ludzie z nomenklatury poprzez pośredników. Np. dyrektor piekarni wywoził z pracy wory pełne chleba i przez podstawionych ludzi sprzedawał. W wodę zaopatrywaliśmy się z rurociągu doprowadzonego do osady z Jeniseju. Początkowo dawano ją na

kartki, a później można było z wody korzystać bez ograniczeń.

W kilka dni po przyjeździe Polaków rozdawano deklaracje, w których mieli się zobowiązywać do 20-letniego pobytu i pracy w kopalni. Po podpisaniu układi Sikorski-Majski nie było już przymusu pracy, natomiast ci sami urzędnicy, którzy przedtem roznosili wspomniane deklaracje teraz wręczali Polakom dokumenty, w których potwierdzano ich przynależność państwową i narodową i obiecywano powrót do Polski po zakończeniu wojny z Niemcami. W Abakanie znajdowało się przedstawicielstwo rządu polskiego, zajmujące się między innymi rozdziałem paczek z UNRY. Paczki te były przez pracowników przedstawicielstwa rozkradane, co okazało się podczas likwidacji placówki.

W 1942 roku w naszym baraku były odprawiane nabożeństwa majowe, w czym starał się bezskutecznie nam przeszkodzić nasz "opiekun". Mój brat, gdy to tylko stało się możliwe przestał pracować w kopalni. Za miesięczną pracę można było kupić pół wiadra kartofli, toteż praca prowadziła do całkowitego wyczerpania. Brat nie poszedł do Armii gen. Andersa ponieważ jako jedyny dorosły mężczyzna musiał zostać z nami. Został natomiast zmobilizowany do Armii Berlinga i dotarł z nią do Pragi, gdzie zginął bez wieści.

W odległości 10 km od naszego osiedla znajdował się sowchoz w Czarnogorce. Dzieci chodziły tam do prac polowych. Stołówka sowchozu wydawała zupę, a oprócz tego można było ukraść pomidory, ogórki i cebulę. Warunki życia były bardzo surowe i pomoc sąsiedzka praktycznie nie istniała. Bardzo ciężka była zima 1943 roku. Dostawaliśmy po 40 dkg chleba z mrożonych kartofli i mielonego prosa. Chleb był bardzo wilgotny i ta prawie półkilogramowa porcja mieściła się w dłoni dziecka. Tej zimy umarła moja matka, mój brat chorował natomiast na zapalenie opon mózgowych, co pozostawiło trwały ślad na jego zdrowiu. Ja pierwszej zimy tak się przeziębiam, że na pewien czas całkowicie ogłuchłam i do dzisiaj mam przytępiony słuch. W czasie zsyłki zmarł również drugi brat.

Do kraju wróciłam w 1946 roku. Repatriację organizowała delegatura rządu lubelskiego w Abakanie. Przed transportem zostaliśmy zaszczepieni. Nie miałam już wówczas żadnego dobytku wzięłam ze sobą tylko kołdrę i poduszkę. Wyjechaliśmy 1 kwietnia, zima była jeszcze w pełni. W czasie tej podróży zmarłam najbardziej w życiu. Dostawaliśmy mizerne jedzenie i swoją ostatnią sukienkę wymieniłam za chleb. Podróż trwała cały miesiąc. Do Lublina przyjechaliśmy z końcem kwietnia

Przeszliśmy tam dezynfekcję. Przez rok czasu mieszkałam u rodziców mamy w Augustowie, ostatecznie zaś osiedliłam się we Wrocławiu. Siostra wraz z bratem przyjechali z domu dziecka do Barda Śląskiego.

Przeszliśmy tam